

STRAŻNICY
ŚWIATŁA

STRAŻNICY
ŚWIATŁA

A b b y G e n i

TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Lightkeepers

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja, korekta i skład: Studio Editio

Projekt okładki: Iлона Gostyńska-Rymkiewicz

Zdjęcia na okładce:

© Petro (fotolia.pl)

© robert (fotolia.pl)

Copyright © 2016 Abby Geni

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Marcin Rusnak

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2017

ISBN 978-83-65506-76-4



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



WYDAWNICTWO
KOBIECE

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Druk i oprawa: Abedik SA

Dla Scotta

PROLOG

Ptaki wznoszą bitewne okrzyki. Miranda widzi, jak stado mew skręca w jej kierunku. Białe pióra. Lśniące dzioby. Szalone ślepia. Dość się napatrzyła na agresję, do której są zdolne, i wie, co zamierzają. Poruszają się w formacji bojowej, kołują nad nią niczym bombowce namierzające cel.

Miranda zmierza w stronę promu. Przyspiesza, wędrując w górę zbocza z plecakiem huśtającym się na ramionach. Łódź się spóźnia, ale nie ma w tym nic dziwnego. Prom zawsze się spóźnia. Na wyspach to jedna z niewielu rzeczy, które są niezienne.

Chłopot fal wypełnia powietrze. Archipelag spowija mgła. W czasie letnich miesięcy podobne opary są częstym zjawiskiem. Popołudnia tutaj rzadko bywają ciepłe i złociste, nikt się nie opala. Horyzont ginie we mgle, słońce przypomina wilgotny dziecięcy wiatraczek.

Miranda ślizga się na kruszejącym skrawku skały. Pomimo pragnienia, żeby opuścić to miejsce, musi kroczyć ostrożnie, z uwagą. Spowalniają ją gniazda i pisklęta. Mewy pokryły ziemię niczym śnieg, robią użytek z każdego kawałka trawy i granitu. Na ich tle Miranda wygląda osobliwie, jak samotna sosna pośród jednolitej bieli.

Ptaki bynajmniej nie są cicho. Ich skrzydła szeleszczą. Pisklaki wrzaskliwie domagają się pożywienia, a rodzice odpowiadają oburzonym skrzekiem. Raz na jakiś czas następuje nagły wybuch, kłótnia o terytorium – łopoczą skrzydła, tryska krew. Miranda również pada ofiarą ich fanatycznego, zaborczego niepokoju. Odkąd wyszła z domu, kilka mew śledzi każdy jej ruch. Lada moment zaatakują. Ich skrzydła są rozłożone, oczy błyskają. Są coraz bliżej.

Jednak Miranda jest przygotowana. Ma na sobie rękawice z grubej skóry, przez co mniejsza część ciała jest wystawiona

na atak. Wokół każdej kostki nosi obrózkę przeciw pchłom, aby ptasie wszy nie wpełzły jej pod ubranie. Maską na twarzy pomaga znieść potworny smród amoniaku unoszący się ponad guanem. Kask leży krzywo na jej głowie, a założona pod spód wełniana czapka zapewnia dodatkową ochronę. Miranda otulona jest też w ponczo, już upstrzone szlamowatymi odchodami, którymi mewy posługują się niczym precyzyjną bronią. Kiedy przybędzie prom, dziewczyna pozbędzie się wszystkich tych ubrań. Porzuci cały strój, tak jak szpieg zdejmuje kostium, zrywa perukę i wypłuwa sztuczne zęby, odpina broń, po czym ucieka z danego miejsca, momentalnie stając się kimś zupełnie przeciętym, kolejną twarzą w tłumie.

Niesie zapięty plecak, jej dobytek jest skromny. To kolekcja muszelek. Przynoszące szczęście pióro maskonura. Rekini zęb, mały, o piłkowanej krawędzi. Dziwnie jest, po całym czasie spędzonym tutaj, opuszczać to miejsce, niosąc tylko plecak. Ale rzeczy osobiste nie są w stanie długo tu przetrwać. Dżinsy, które Miranda przywiozła ze sobą tak dawno temu, zamieniły się w szmaty. Książki spleśniały. Ergonomiczną poduszkę wypełniają mysie odchody. Jedyne, co zachowała – nie bez trudu, korzystając z wodoodpornych pojemników oraz sporej dozy sprytu i czujności – to trzy cyfrowe aparaty fotograficzne, jeden aparat wielkoformatowy i kilka kartonów niewywołanego filmu. To jej skarby. Odzwierciedliła na zdjęciach każdy z nastrojów tych wysp, od krystalicznej czystości zimowego słońca aż po dzikie jesienne burze. Wysp jest ponad tuzin. Miranda uwieczniła każdą z nich. Czekoladowy Okruch: ciemny kontur na tle lśniącego oceanu. Nabrzmiały kamienny kopiec zwany Głową Cukru. Wysepki Pijanego Wujka, wystawiające łyse łby ponad powierzchnię wody. A także tutejszych ludzi. Tych nielicznych, którzy przetrwali. Ich zdjęcia też ma.

Atak nadchodzi bez ostrzeżenia. Mewa uderza Mirandę w skroń i dziewczyna traci równowagę. Krzyczy, kask

przekrzywia się jej na oczy. Skrzydła łopoczą wokół jej ramion. Mewa nie wychodzi z tego bez szwanku; skotłowana pada na ziemię, jest wyraźnie zdezorientowana. Miranda się nie zatrzymuje. Rozczochrana i wstrząśnięta, podąża w stronę wody. Wie, że nie może tutaj przystanąć, nie na otwartej przestrzeni. Wspina się na klif, ciężko oddychając, i wreszcie dociera na grań.

Kilkanaście metrów od brzegu rozpościera się ściana gęstej mgły. Kłęby oparów pokrywają ocean niczym dymiące węgle. Miranda poprawia kask. Ptaki zachowują dystans, przegrupowują się, wahają. Wykrzykują groźby i ostrzeżenia. To niepokojące cienie, które nieustannie pikują i kręcą się na skraju pola widzenia.

Nagle po wodzie niesie się warkot silnika. Hałasujące mewy niemal go zagłuszają. Miranda widzi, jak dziób promu przedziera się przez mgłę. Jest w jego pojawieniu się coś widowiskowego, jakby było jedną ze sztuczek podczas pokazu iluzjonistycznego. Łódź zdaje się rodzić w bólach, pojawia się znikąd, wyrasta z mgły, ze snów. Niemal wbrew własnej woli Miranda unosi obie ręce nad głowę i macha energicznie. Z tej odległości nie widzi, czy Kapitan Joe odpowiada tym samym. Patrzy, jak statek sunie po wodzie. Mewy wirują wokół niej, skrzecząc. Nie poddały się. Ich wrogość będzie trwała aż do ostatniej chwili. Miranda wie, co by jej zrobiły, gdyby tylko mogły. Wie, jak niebezpieczne potrafią być te wyspy. Wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Pół godziny później jest już na promie. Nigdy nie radziła sobie dobrze z chorobą morską, więc opiera się o burtę i czuje, jak jej żołądek podskakuje w rytm każdego szarpnięcia pokładu. Jest gotowa do drogi; gotowa, żeby po raz pierwszy od roku opuścić te wyspy. Od brzegu dzieli ją siedem metrów i zarazem cały świat. Kapitan Joe przemieszcza się po łodzi, doglądając tajemniczych marynarskich spraw: rozwija sznury,

przesuwa dźwignie, sprawdza siłę jakiegoś zatrasku. W miarę jak prom odsuwa się od brzegu, ocean zaczyna się obracać, kręci się wokół własnej osi. Z tej perspektywy cały krajobraz wygląda zupełnie inaczej: wyspy są małe, mgła przypomina miękką firankę, ptaki zdają się delikatne i niegroźne, jakby były zrobione z papieru. Miranda wstrzymuje oddech, odzwyczajona od poczucia bezpieczeństwa.

Zdjęła obroże przeciw pchlom, ponczo, maskę i kask. Mimo wszystko jest nieprzyjemnie świadoma faktu, że jej ubrania – bucior z metalowymi noskami, wełniana czapka oraz męska kurtka, którą sobie przywłaszczyła na pamiątkę – nie wyglądają zupełnie normalnie. Jej ubiór nie pasowałby do żadnego innego miejsca poza Wyspami Farallońskimi. Kiedy dotrze do Kalifornii, wezmą ją pewnie za bezdomną. Może przechodnie będą się nad nią litować i zechcą dać jej jakieś drobne. Gdyby tylko wiedzieli...

Statek rozcina wodę. Jego kilwater rysuje na tafli ścieżkę sięgającą brzegu. Miranda zamierza patrzeć na wyspy, obserwować, jak giną w oddali, spoglądać na nie tak długo, aż pożre je mgła. Archipelag to kolekcja miniaturowych wysepek, maleńka formacja, drobina kurzu na mapie. Farallon Południowo-Wschodni jest jedyną wyspą z tej zgrai, która w ogóle nadaje się do zamieszkania. Ma łąkę zieleni, na której przycupnęła chata, a także latarnię, łodzie i dwa niewielkie drzewa, które stoją dumnie na wietrze; ich korony posplatały się ze sobą w poszukiwaniu towarzystwa. Wokół tej centralnej wyspy rozsiane są małe rzeźby z nagiego kamienia, nieistotne, niezdolne do podtrzymania roślinnego życia, chłostane falami i udekorowane pąklami. W miarę jak łódź oddala się od brzegu, Miranda przygryza wargę. Ma płochą nadzieję, że mignie jej jeszcze jakaś ludzka postać – stojąca na skraju klifu, czekająca, żeby pomachać jej na pożegnanie. Ale po wszystkim, co miało tam miejsce, powinna wiedzieć, że tak się nie stanie.

Nikt jej nie żegna. Wyspy wydają się opuszczone. Latarnia stoi czarna i nieruchoma na tle kotłujących się chmur. Chatę ledwo widać, jej większą część zakrywa wzniesienie.

Fale rosną, wzbierają pod kadłubem. W polu widzenia pojawia się Siodło, gęsto obsadzone lwami morskimi, z których część drzemie jeden na drugim, a inne skaczą komicznie po plaży. Wkrótce prom dociera do mgły. Z wnętrza pokładówki dobiega śpiew Kapitana Joego – wesoła melodia niesiona przez wiatr. Wyspy stają się rozmyte, eteryczne. Mgiełka pozbawia je ostrych krawędzi, zmiękcza ich kontury. Dziewczyna mruży oczy, żeby ostatni raz dojrzeć linię brzegową. Przez moment czuje, jakby sama była łodzią ciągnącą za sobą łańcuch z kotwicą. Przez ostatnie dwanaście miesięcy sznur żelaznych ogniw łączył ją z tym archipelagiem. Upływ czasu zmienił ją niczym statek zakotwiczony w porcie – pokrył korozją, atakował falami, wybił dziury w kadłubie, wreszcie ubrudził i obtłukł ją nie do poznania. Teraz dziewczyna czuje, jak ten łańcuch zaczyna trzeszczeć. Napina się do granic możliwości, przeszywa bólem. Wreszcie, z nagłym szarpnięciem, pęka w połowie. Kiedy Miranda w końcu zrywa się z uwięzi, niemal traci przytomność.

Przez ostatni rok każdego ranka słuchała, jak Galen głośno spluwa do zlewu. Stała przy kuchence wraz z Charlene, chichocząc, gdy wspólnie sypały wszystkie dostępne w spiżarni przyprawy na patelnię pełną jajecznicę z nurzykowych jaj, nieudolnie starając się, by ich śniadanie choć raz nie trąciło rybą. Chodziła na spacer z Mickiem, raz za razem okrążając wybrzeże. Czekala przy drzwiach, patrząc, jak Forest starannie wiąże buty, co zajmowało mu dziesięć minut więcej niż wszystkim innym, tak jakby losy świata mogły zależeć od precyzji każdego supelka. Miranda poznała wszystkie ich dziwactwa. Zna śmiech Galena: to, jak marszczą się jego zamknięte oczy, a usta otwierają tak szeroko, że widać każdą plombę. Wie, że Lucy nuci przez sen, godzina po godzinie, doskonale

słyszalna wśród ciszy panującej w chacie. Pamięta zapach potu Andrew – cierpką, ziemistą woń. Pamięta dokładnie wygląd białych dłoni Micka.

Żadnej z tych osób już nigdy nie zobaczy. W jakimś stopniu jest z tego zadowolona.

Podczas długiego rejsu promem zdejmuje czapkę i robi, co może, żeby uczesać zmierzwione włosy. Zmaga się z prze-rażającą morską toaletą. Sprawdza swój sprzęt fotograficzny. Niektórzy ludzie nadają imiona samochodom – ukochanym przedmiotom, którym przypisują osobowość. Miranda ma w zwyczaju nazywać swoje aparaty. Najlepszy w tej gromadce jest Klejnot. Ten wielkoformatowy aparat ma wystarczająco dużo pokręteł, żeby wprawić w osłupienie Galena oraz Foresta, którzy mieli w zwyczaju bawić się nim, ilekroć Miranda nie patrzyła. To potwór, który – niczym hiperaktywna królowa pszczół – wydał na świat setki klisz, wciąż niewywołanych, czekających, by wykluc się w ciemni. Drugi aparat to Charles, prawdziwy antyk. Charles radzi sobie najlepiej rano i wieczorem, kiedy niebo jest złociste, a powietrze gęste od światła. Charles narzuca własne spojrzenie na świat. Pozostałe dwa (Gremlin oraz Rybi Pysk) to cyfrowe lustrzanki: proste, szpanerskie, nieprzyzwoicie drogie. Miranda troszczy się o każdy z nich jak dobrotliwa matka. Pamięta o ich urodzinach – o tych ważnych datach, kiedy je zakupiła.

Dwoje swych dzieci straciła w ciągu minionego roku. To ofiary wysp. Nazywała je Kocurem i Złoczyńcą, a teraz przepadły na zawsze.

Miranda przenosi się do schronienia, jakie daje pokładówka. Siada na ławce. Za oknami rozciąga się mgła, otacza łódź niby wałek bawełny. Świat poza kadłubem został ograniczony do wrażeń słuchowych: syreny mgłowej, plusku fal, pokrzykiwania mew. Ten ostatni dźwięk jest już odległy, dźwięczny, niemal muzykalny.

Dziewczyna sięga do torby i wyciąga szarą kopertę. Koperta jest gruba, jakby spuchnięta, i szeleszcząca. Wysypuje jej zawartość na kolana, uwalnia papierową śnieżycę. Są tam wyrwane z notesów kartki pokryte liniami. Jest papier do drukowania, wypełniony z obu stron odręcznym pismem Mirandy. Jest papier milimetrowy, są chusteczki i jest podkradziony z kuchni papier woskowany. Na każdej z tych powierzchni pismo Mirandy jest nadzwyczaj ściśnięte, jak mrówki maszerujące w linii. Papier w każdej formie był na wyspach towarem luksusowym, musiała więc wykorzystać do maksimum każdy jego strzęp. W czasie zimowych miesięcy wyrywała kartki z czasopism i ściubiła na marginesach. Robiła użytek ze starych paragonów, wyblakły druk został zastąpiony przez jej pismo. Pisała nawet na papierze toaletowym. Zawartość tej szarej koperty to cały rok pracy.

Miranda ostrożnie rozkłada zapiski na kolanach. Panuje w nich pewien porządek, choć dla kogoś innego trudny do dostrzeżenia. Niektórzy dopatrzyliby się w tej pisaninie dzieła szaleńca. Inni może dostrzegliby poetycką zbieżność z charakterem tego miejsca. Miranda znajduje notatkę z pewnego słonecznego wrześniowego popołudnia. Trafia na ten długi, gorączkowy list napisany jesienią, w którym pismo jest niemal zbyt rozchwiane, by dało się je odczytać. Wymięte stroniczki z tego deszczowego tygodnia, kiedy wypadało Święto Dziękczynienia, wciąż noszą pamiętkę po wilgoci. Są tam zapiski z grudnia, marca, z wiosny i z lata.

Może nie znajdzie tu żadnej odpowiedzi. Może nigdy nie zrozumie wszystkiego, co się jej przydarzyło. Ale to ostatnia szansa, żeby zrozumieć. Silnik promu warczy. Mewa zawodzi w oddali niczym przestraszone niemowlę. Miranda siedzi przez moment ze zwieszoną głową. Potem zaczyna czytać.

SEZON REKINÓW

Nigdy nie zapomnę pierwszych chwil po przyjeździe. Wyspy Farallońskie nie były tym, czego się spodziewałam. Okazały się mniejsze i dziwniejsze, niż je sobie wyobrażałam. To maleńki, zatopiony w wodzie łańcuch górski. Wydawało się, że jedna potężniejsza fala mogłaby zmyć je z powierzchni ziemi. Stałam na pokładzie promu. Fale były w kadłub, podczas gdy Kapitan Joe spuszczał kotwicę. Łódź się kołysała, rozmyty horyzont tańczył. Osłoniłam oczy dłonią, wpatrując się w mój nowy dom.

Dawno temu miejsce to nazywano Wyspami Umarłych. Teraz mogłam zrozumieć dlaczego. Farallon Południowo-Wschodni mierzył niecałe trzy kilometry kwadratowe. Pozostałe wysepki były nagie, łyse, potrzaskane. Nie było tu piaszczystych plaż. Smugi wodorostów pokrywały brzegi, a wierzchołki zdawały się spękane i pokruszone. Wyspy ułożono według wysokości, tak jak ustawia się do zdjęcia weselnym gości. Ich rysy miały w sobie coś topornego. Bóg może i stworzył świat, ale do formowania Wysp Farallońskich odelegował chyba jakiegoś nieletniego pasierba, w dodatku wyposażonego w podlegszy rodzaj gliny.

U mojego boku Kapitan Joe krzyczał do krótkofalówki. Odpowiadał mu jakiś trzeszczący głos. Na pokładzie promu spędziłam poprzednie pięć godzin. Byłam zdezorientowana i marzyłam o tym, żeby wziąć prysznic. Łódź wznosiła się na jednej krzywiznie fali i opadała wzdłuż kolejnej. Mrużyłam oczy, patrzyłam pod słońce. Zakotwiczyliśmy wzdłuż strome-go klifu. Widać było tylko skały, a ponad nimi chmury. Coś pojawiło się na krawędzi i zaczęło opadać.

Przedmiot wyglądał jak wgnieciona klatka dla ptaków. Na jej spodzie znajdował się ciężki żelazny dysk. Liny i siatka

chybotały się na tle nieba. To, jak się dowiedziałam, był Billy Pugh. (Pochodzenie tej nazwy pozostaje tajemnicą. Pytałam, ale nie uzyskałam odpowiedzi). Kapitan Joe wydawał instrukcje. Ktoś po drugiej stronie krótkofalówki odpowiadał, zakłócenia zniekształcały głos. Ocean był atramentowy, pokryty szlamowatymi pęcherzami.

Na brzeg miałam zostać przetransportowana dźwigiem. Na Wyspach Farallońskich nie było doków ani mariny. Żadnej namiastki normalności. Prom zatrzymał się kilka metrów od klifu i nie mógł podpłynąć bliżej, bo kryjące się pod wodą rafy rozprułyby kadłub. Billy Pugh wylądował na pokładzie z głuchym łomotem. Kapitan Joe bez ceregieli pokazał mi, jak wejść do środka sznurowej siatki. Pomógł mi ustawić stopy na podstawie – metalowym krążku, pełnym rys i żłobień. Sieć nad moją głową została zebrana i zaczepiona o hak, ponad nim ku górze wiła się stalowa lina. Gdzieś u szczytu całej tej konstrukcji znajdował się dźwig. Cień na tle chmur.

Obróciłam się do Kapitana Joego.

– To bezpieczne, prawda?

– Poślę twoje bagaże następnym kursem – odparł.

Grunt usunął się przede mną. Zdusiłam okrzyk przerażenia, dłonie splotłam na linach. Billy Pugh wcale nie wyglądał, jakby miał mnie bezpiecznie utrzymać. Poruszałam się szybko, pędziłam do góry. Trzy metry. Pięć. Słyszałam jęk stalowej liny. Dysk przesunął się pod moimi stopami. Próbowaliśmy utrzymać równowagę, gdy Billy Pugh huśtał się jak wahadło. Ocean opadł, prom się rozmył, Kapitan Joe zmienił się w zniekształconą postać z kreskówki. Miałam wrażenie, że w oddali dostrzegam płetwę grzbietową. Właściwie chyba widziałam trzy poruszające się równocześnie. Byłam pewna, że zaraz zwymiotuję.

Rozległ się huk. Billy Pugh wylądował. Wydostałam się przez lukę między linami i opadłam na głębę Wysp Farallońskich.

Niezupełnie wiem, co nastąpiło potem. Leżałam na plecach, dumna, że zdałam pierwszy test. Czekałam, aż miną mdłości. Granit był zimny w dotyku, nierówna powierzchnia ugniatała mnie w kręgosłup. Widziałam teraz lepiej dźwig – zardzewiały wysięgnik zawieszony nad wodą. Billy Pugh raz jeszcze jechał w dół. Ktoś w pobliżu musiał sterować tym urządzeniem. Nie miałam pojęcia, kto przetransportował mnie na wyspę, kto znajdował się po drugiej stronie krótkofalówki Kapitana Joego. Wyspę zamieszkiwało sześcioro stałych rezydentów. Sześcioro biologów żyjących w odosobnieniu i dziczy Wysp Umarłych.

Mechanizm dźwigu umieszczono na szczycie pobliskiego wzgórza. Ktoś był w środku, ale z tej odległości nie mogłam rozpoznać żadnych szczegółów. Widziałam tylko ludzką sylwetkę. Wciągarka obracała się, lina rozwijała. Billy Pugh zniknął mi z oczu. Patrzyłam na przelatującego nieopodal morskiego ptaka. Wdychałam smród pleśni i guana. Zapach na wyspach był tak drażniący, że zdawał się palić w płucach.

Moje bagaże odbyły tę samą niebezpieczną podróż. Zanim się podniosłam, Billy Pugh spoczywał już obok mnie, wypakowany walizkami. Prom już odpływał. Jego dziób celował w Kalifornię, kilwater przypominał brudną pełną szarego szlamu. Nie widziałam Kapitana Joego. Bez pożegnania wszedł do pokładówki. Na tych wodach lepiej było nie pozostawać dłużej niż to konieczne.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu mojego nieznanego pomocnika. Jednak sylwetka z okna dźwigu już zniknęła. Ktokolwiek tam był i sterował maszyną, nie uznał za konieczne przedstawić się, pomóc mi z bagażami, powitać mnie na wyspach. Coś zaległo mi w gardle. Na razie byłam zdana na samą siebie.

Dotarcie do chaty zajęło mi dłuższą chwilę. Ciągnęłam walizki, dyszałam i pociłam się. Było wczesne popołudnie, chłodne i słoneczne. Morski ptak przefrunął w oddali, wydając z siebie ochryply okrzyk. Ocean huczał. Biała piana wznosiła

się ponad klifami. Na tle przymglonego nieba latarnia morska pełniła samotną wartę.

Kiedy dotarłam na ganek, poczułam się jak morski rozbitek. Chata wydawała się opuszczona. W szybach widać było pęknięcia. Deski uginały się pod moimi butami. Nie było dzwonka do drzwi. Wciąż dyszałam po podejściu, bagaże leżały rozrzucone u moich stóp. Pamiętam, że zbierałam się do tego, żeby zapukać. Pamiętam, że przybrałam uprzejmy uśmiech mówiący: „och, jak miło was poznać”.

Ale zanim zdołałam się poruszyć – zanim zdołałam choćby mrugnąć – drzwi otworzyły się od środka. Cofnęłam się, przestraszona. Dwóch mężczyzn wypadło na zewnątrz.

Pierwszy był stary, drugi – młody. Może winne były moje wnętrześci wzburzone niedawnym rejsem, ale w tej chwili obaj wydawali mi się nie z tego świata. Starszy mógłby zagrać w filmie Posejdona – grzywa srebrnych włosów, ogorzała twarz, aura powagi. Młodszy tymczasem był chudy jak patyk, miał umięśnione, pokryte odciskami dłonie. Mógł stanowić drobniejsze bóstwo: chochlika obdarzonego ograniczonymi, ale niezwykłymi mocami.

Teraz, oczywiście, znam już ich imiona: Galen (ten starszy) oraz Forest (ten młodszy). Jednak wtedy nie miałam pojęcia, kim są. Wzięłam głęboki oddech i uśmiechnęłam się.

– Cześć – powiedziałam.

– Zbieraj się albo przepadnie nam całe widowisko – polecił Forest. Zajął mi chwilę, nim zrozumiałam, że choć zwrócony w moją stronę, mówił do mężczyzny za swoimi plecami. Po prostu przypadkiem znalazłam się pomiędzy jego spojrzeniem a morzem.

– Dobrze, już dobrze – burknął Galen, naciągając czapkę na swoją białą grzywkę.

– Cześć – powiedziałam głośniej. – Dopiero co zesłam z promu. Nazywam się...

Forest zakręcił się na pięcie, bijąc się w czoło.

– Zapomniałem cholernego aparatu. Dasz wiarę? Zapomniałem cholernego...

– Za późno – odparł Galen. – Musimy sobie poradzić bez niego.

Wyskoczyli na ganek i, gdybym się nie odsunęła, Forest wpadłby na mnie. Zapinał płaszcz. Galen obserwował wybrzeże przez lornetkę. Otworzyłam usta i zaraz je zamknęłam. Opuściła mnie pewność siebie. Nie mogłam się zmusić, żeby po raz trzeci zakomunikować im swoją obecność. Patrzyłam w ciszy, jak przechodzą nad moimi walizkami i pędzą po stopniach w dół.

Przez chwilę autentycznie zastanawiałam się, czy to nie sen. Przypominał nieco typowy koszmar będący wyrazem niepokoju: okropny rejs, potężne fale, przerażająca klatka z lin, kipiela oceanu, odległe płetwy grzbietowe, tajemnicze postaci na horyzoncie, żadnego powitania, żadnej pomocy, żadnej gwarancji czy bezpieczeństwa.

Obaj mężczyźni przeszli w trucht. Patrzyłam, jak ich postaci maleją. Niemal dotarli do szczytu wzniesienia, kiedy Forest wreszcie się odwrócił.

– Och, no oczywiście. Ty jesteś Melissa – krzyknął. – Witaj! Zostalibyśmy i pogadali, ale...

Galen przejął urwane zdanie, dokończył myśl towarzysza.

– ...ale w Zatoce Zachodniej zaczął się szal jedzenia – wykrzyczał. – Wejść do domu. Nie wychodź na zewnątrz. Tutaj nie jest bezpiecznie.

Nie mogłam się zdobyć na to, żeby odwrzeszczeć, że pomylili moje imię. Znikali już z pola widzenia, pędząc przed siebie jak dzieciaki goniące furgonetkę sprzedającą lody.